Od autora: Niektóre marzenia same się spełniają, jak samospełniające się przepowiednie… Wystarczy tylko bardzo mocno chcieć:)

„Highlands – moja Północ"

Będąc w Szkocji, w czerwcu bieżącego roku kupiłam sobie książkę. Fragment dedykacji dla siebie samej brzmiał: „…*Przyjmij tę książkę, jako pamiątkę z pierwszej podróży do Edynburga. Wiesz, że tu wrócisz, chcesz tego, czujesz to. Niech twe marzenie się spełni, jeśli nie dziś, to jutro… Marzysz też o Highlands i Zamku Balmoral – zrób to! Żyje się tylko razJ"*.

I oto jestem Drogi Czytelniku. Odbyłam swoją podróż marzeń, z której wrażeniami teraz dzielę się z Tobą.

Niedziela, 13 sierpnia 2017

Dzień przed wylotem dowiaduję się, że będą utrudnienia w komunikacji miejskiej. Ruch metra między stacjami Wilanowska, a Kabaty zostanie wstrzymany. Akurat mieszkam przy jednej ze stacji na tym pechowym odcinku i gdybym wcześniej nie wiedziała o zaistniałym utrudnieniu mogłabym nie zdążyć na autobus wożący pasażerów na lotnisko w Modlinie. Na szczęście pech mnie omija i szczęśliwie, o czasie znajduję się we właściwym miejscu.

To pierwszy mój stres. Drugim jest fakt, że zegarek przestał działać wieczorem przed wyjazdem. A jadąc za granicę muszę mieć przecież jakiś zegarek. Poszukiwania, poszukiwania… baterii lub innego zegarka. I nic. Jedynym wyjściem jest zabranie wielkiej sportowej busoli, która zajmuje cały nadgarstek i ma jaskrawy żółtozielony kolor. I taką ją biorę. Przynajmniej jeden problem rozwiązuje się przed czasem.

Trzecim jest wydrukowanie wykupionego wcześniej biletu na dworcu kolejowym w Edynburgu, ale o tym później. Małym biletem zamartwiam się od chwili zakupu. W miarę zbliżania się terminu urlopu coraz bardziej, a kulminację osiągam w noc przed wylotem. Wstaję nieprzytomna z niewyspania. Samo więc dotarcie do Edynburga nie stanowi żadnego problemu. Ani formalności lotniskowe, ani sam lot, ani droga na dworzec, którą przecież poznałam w czerwcu. Stresuje mnie limit czasowy, który z każdą minutą stania w okołolotniskowym, a później miejskim korku, kurczy się. I jeszcze konieczność odebrania biletu z dworcowego automatu. Na dworzec prawie wbiegam, z ciężkim plecakiem na plecach, drugim mniejszym w ręku i jeszcze torebką przewieszoną przez ramię. Z instrukcją w ręku wykonuję wszystkie czynności i śliczny pomarańczowy bilet wielkości karty bankomatowej pojawia się w kuwetce do odbioru. Sama się z siebie śmieję. Strach ma wielkie oczy, tak strasznie się bałam, a wszystko okazało się dziecinnie proste. Cóż, niektórzy są odważni, inni mniej.

Kolejnym małym problemem jest znalezienie właściwego peronu na wielkim dworcu Edinburgh Waver-

ley. Numer peronu nie wyświetla się przez długi czas, podczas gdy pociągi później odjeżdżające mają już przypisane wszystkie niezbędne dla pasażera informacje. W tym czasie wypijam kawę, zapoznaję się z zabawnym rytuałem korzystania z toalety publicznej, a gdy wracam do bramek, numeru peronu nadal nie ma. Nie jestem jedyna. Tłum pasażerów nerwowo spogląda na wyświetlacz odjazdów, pociąg jadący do Inverness nie ma swojego peronu. Dopiero, gdy do odjazdu pozostało około pięciu minut pojawia się magiczna liczba szesnaście. Pasażerowie szturmem ruszają na bramki, przepychając się, żeby zdążyć zająć swoje miejsca. Moje na szczęście jest w najbliższym wagonie A. Zostawiam ciężki plecak na specjalnej półce, siadam i dopiero wtedy czuję, że wakacje się zaczęły. Cały stres znika jak ręką odjął. Co oczywiste zapadam w krótką drzemką, cała podróż ma trwać ponad trzy godziny, mam więc czas na wszystko.

Po przebudzeniu rozglądam się dookoła. Obok mnie siedzą trzy dziewczyny, jak się później okazuje dwie są razem, jedna jest przypadkowa. Najbardziej intryguje mnie ta siedząca najbliżej. Jest drobna, w okularkach, przeciętna z urody, ale to nieistotne. Ważne jest co robi, z jakim luzem pije swojego ciemnego portera. Całą zawartość w dość krótkim czasie, nalewając sobie z butelki do małego metalowego kubka. Na stole przed nią leży tomik poezji, a pod nim płócienny worek z wybrzuszoną zawartością. Odkłada tomik i wyciąga z worka druty oraz wełenkę tak srebrną, jak włosy staruszki. Zaczyna dziergać coś małego, coś zwiewnego, może dla lalki, może dla dziecka. W każdym razie robi to tak uroczo, nie zważając, że ktoś mógłby na nią patrzeć lub ją oceniać. Urzeka mnie swoim spokojem i luźnym podejściem do życia. Robi po prostu to co chce i jest z tym szczęśliwa. Pewnie taka sama będzie na starość, stateczna i spokojna. Jest to obrazek godny pozazdroszczenia. Żyć w zgodzie z sobą, nie przejmować się oceną innych. Jej koleżanka całą drogę śpi lub stuka w komórkę. Trzecia zaś ogląda film na tablecie. Żadna z nich nie jest tak zajmująca, jak ona.

Siedzę wygodnie, kulturalnie przelewając piwko z puszki do szklaneczki. Krajobrazy za oknem zmieniają się, są piękne. Dzikie góry, wysokie szczyty prawie zaglądające do okien, stoki porośnięte wrzosami. Białe owce z czarnymi głowami, urocze stworzenia. Pociąg jest całkiem zapełniony. Jest głośno, słychać rozmowy w różnych językach. Wyczuwa się spokój i luz, wakacje. Piję piwo, zagryzając je paluszkami z Polski. W Edynburgu nie było czasu na obiad. Na stacjach kolejowych są urocze stare dworce, nad torami zaś piękne drewniane schody. Jak za dawnych lat. Jakby czas tutaj zatrzymał się w miejscu. Przed miejscowością Aviemore wszczyna się ruch. Moje sąsiadki zakładają plecaki i ruszają do wyjścia. Ta ciekawsza naciąga skórzany kapelusz, przyda się pewnie podczas deszczu, który siąpi tutaj nieustannie, i przytracza metalowy kubeczek do plecaka. Pewnie pójdą w góry, bo są ubrane jak prawdziwe turystki. Nieopodal rozciąga się przepiękny Park Narodowy Cairgorms.

Kolejna stacja to Inverness, mój cel na najbliższe cztery noce. Drogę do hostelu wskazuje mi dziewczyna z psem. Sama mnie zaczepia, gdy stoję z mapą w ręku, rozglądając na boki. Ludzie są tutaj bardzo pomocni i towarzyscy, a na pewno rozmowni. Dziewczyna jest przemiła, pies okropny, szczeka wciąż. Hostel okazuje się wielkim rozczarowaniem, przynajmniej takie jest pierwsze wrażenie. Wiedziałam, że pokój będzie wieloosobowy, ale że nie będę mieć nawet własnej szafki, nie mówiąc już o kluczyku z kłódką, przerasta moje oczekiwania. Pierwszą myślą jest ucieczka jak najdalej stąd, z tego miejsca. Dołuje mnie fakt, że będę musiała chodzić wszędzie z cennymi rzeczami, nawet do łazienki i pod prysznic. Perspektywa niezła…w dodatku jestem głodna i zła. Długo szukam ciekawego miejsca, żeby coś zjeść i napić się piwa. Znajduję takie coś, co w żaden sposób nie może mi poprawić humoru. WiFi też nie działa. Dopiero haggis i szkocki *Belhaven* rozluźniają nieco moje spięte nerwy. Spacer po mieście dopełnia serii rozluźnień. Początkowe negatywne wrażenia z Inverness ulatniają się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Rzeka Ness i jeszcze fragmentarycznie niebieskie niebo, nawet po dwudziestej trzeciej, uromantyczniają noc. Podobnie jak w czerwcu w Edynburgu. Z mostu roztacza się śliczny widok na

wodę. Światła latarni odbijają się, rzucając długie blaski na spokojną taflę. Wieże kościołów wbijają się ostro w niebo. Rzeka Ness ma tylko dziesięć kilometrów długości, dalej łączy się z Kanałem Kaledońskim i razem wpadają do Loch Ness. Majestatycznie podświetlony zamek rozjaśnia deszczowe miasto. Wałęsam się głównym deptakiem, niespieszno mi do obskurnego pokoju. Szukam spadających gwiazd, bo akurat trwa noc deszczu meteorytów. Wracam po północy. Słychać tylko równe oddechy śpiących. Pod prysznic idę z całym dobytkiem (paszport, pieniądze i inne dokumenty), w końcu zmęczona zasypiam jak dziecko.

Poniedziałek, 14 sierpnia 2017

A po nocy przychodzi dzień…

Budzę się późno i zastaję pusty pokój. I znalazła się nawet wolna szafka na moje rzeczy. Wow, cuda się zdarzają. Pada deszcz, nie chce mi się wychodzić. Pijąc kawę sms-uję z przyjaciółmi. W końcu zamieniam okulary słoneczne na parasolkę i ruszam na miasto. W hostelu dużo jest mężczyzn z całego świata, nie brak wśród nich szarmanckich okazów. Dzień rozpoczyna się bardzo miło. Spacerkiem w deszczu wyruszam na dworzec kolejowy, gdzie kupuję bilet do Aberdeen. W restauracji obok stacji zamawiam późne śniadanie. Omlet z czterech jaj z bekonem, do tego smażone ziemniaki z warzywami. Pełen talerz jedzenia. Omlet jest pyszny, soczysty, tłuściutki i mięciutki. Mniam. Choć jedząc go czuję jeszcze wczorajszego haggisa. Już wiem dlaczego wielu Brytyjczyków jest takich otyłych - ich kuchnia jest tłusta, ciężka. Pewnie gdybym tu pobyła dłużej, wyglądałabym podobnie jak niektórzy. Śniadanie jest przepyszne.

Moim celem jest informacja turystyczna i zamek. W informacji sympatyczny Joseph omawia szczegóły wybranych przez mnie wycieczek. Na wyspę Sky wraz z Loch Ness oraz na Orkady, odległe wyspy na Morzu Północnym. Oferty są niezwykle atrakcyjne, cenowo jednak mocno nadszarpnęłyby mój budżet. Potrzebuję czasu, by się zastanowić. Zwiedzam zamkową wieżę, wysłuchuję ciekawej historii Columbusa, który rozprawił się z potworem z Loch Ness. Dzięki niemu zniknął on z rzeki Ness, a zamieszkał na stałe w Loch Ness. Na dziedzińcu przed zamkiem atrakcję stanowi pasący się na trawniku zając. Niezrażony dużą ilością fotografujących go turystów, pasie się i kica to tu, to tam, kładąc po sobie uszy. Deszcz nie przestaje padać. Skryta pod parasolką wędruję wzdłuż rzeki Ness. Deszcz nie jest w stanie zepsuć mi dobrego humoru. Mijam urocze rezydencje, drogie hotele, prywatne firmy, wszystkie ulokowane w mini zameczkach w szkockim kamiennym stylu. W głowie mi szumi od nadmiaru wrażeń. Co wybrać? Na którą wycieczkę się zdecydować? Orkady spadają mi jak z nieba, kiedyś wydawały mi się miejscem tak odległym, jakby nieosiągalnym, tak nierealnym, jakby nie z tej ziemi. A teraz mogę się po prostu tam znaleźć. Bulgocze we mnie euforia zasiana przez Josepha, entuzjastę swojej pracy. To ważne by lubić swoją pracę i z pasją ją wykonywać. Wycieczka na wyspę Sky jest również zapowiedzią niecodziennych doznań estetycznych. Wypogadza się, wychodzi słońce. Decyduję się na obie wycieczki. Co tam koszty? Raz się żyje. Może nigdy już tutaj nie wrócę. W poprzek rzeki biegną dwa mosty, oba tylko dla pieszych i rowerzystów. Jednym z nich przechodzę na drugi brzeg. Po drodze wstępuję do katedry. Całkiem poważnie rozważam popołudniową mszę, jako urozmaicenie, bo nigdy nie uczestniczyłam w mszy w innym niż polski języku. Z biegiem dnia jednak zmieniam zdanie.

Drugim bujającym się mostem wracam do informacji turystycznej. Już zdecydowana na dwie wycieczki. Na Orkady cudem znalazło się jedno wolne miejsce, na wyspę Sky niestety nie ma żadnych. Wybieram więc tylko Loch Ness, może i dobrze się stało, zaoszczędzę na inne wydatki. Formalności załatwia za mnie Shannon, Irlandka pochodząca z miasta o tej samej nazwie, przez które płynie identycznie zwąca się rzeka. Trzy razy Shannon. Niezwykłe, jak małe rzeczy, potrafią cieszyć.

Mam już sprecyzowane plany na najbliższe dwa dni, spokojnie więc kręcę się po mieście. Oglądam pamiątki szkockie, szaliki są tutaj droższe niż w Edynburgu. Oczywiście nie może obejść się bez piwa *Belhaven*. Słońce zostaje na dłużej, może nawet i na jutro go wystarczy. Jestem bardzo senna, więc po kawie siekierze idę na zakupy, a potem sprawdzam położenie dworca autobusowego, skąd nazajutrz będzie wycieczka nad Loch Ness. Senność w końcu wygrywa, muszę wrócić na kwaterę i zdrzemnąć się. W Szkocji senność to codzienność.

Późnym wieczorem zostawiam plecak w szafce zamykanej na kłódeczkę, którą mi wypożyczył, zamiast sprzedać przemiły starszy pan z obsługi hostelu, i ruszam na miasto, szukać wrażeń, piwa i muzyki. Spacer w deszczu… Przy głównej ulicy jest pub ze szkocką muzyką na żywo. Niesie się po deptaku. Wchodzę, w środku tłum, żadnego wolnego miejsca. Z piwem w ręku staję przy ścianie. Nieopodal jest wolne krzesło. Proszę i dostaję. Joachim, bo tak ma na imię mężczyzna, który pożycza mi krzesło, okazuje się mieszkańcem tego samego hostelu. Włoch z pochodzenia, mówiący na co dzień językiem niemieckim. Zaczynamy rozmawiać po włosku, dla mnie i dla niego jest to wielki trening. On nie uczył się języka od podstawówki, ja używam go tylko raz do roku, będąc we Włoszech. Dajemy radę, jakoś się dogadujemy. W tym czasie lokal się zapełnia, grono instrumentalistów powiększa od początkowego grajka na ukulele i klawiszowca, o kolejną skrzypaczkę – jedyną kobietę, i gitarzystę. W miarę upływu czasu spontaniczny koncert urozmaicają bębniarz i mężczyzna grający na dudach. To on jest największą atrakcją wieczoru. Przysadzisty, postawny mężczyzna z bujnym zarostem na twarzy dmucha w dudy co sił. Policzki ma napięte, twarz czerwoną od wysiłku. Gra i spaceruje w tę i z powrotem. Akompaniuje mu bębniarz ubrany jak hipis w kapeluszu, podobny trochę do Włóczykija z Muminków. Tworzą świetny duet! Grają tak razem dla siebie, a inni słuchają, ciesząc się i klaszcząc. Wspaniały pokaz szkockiej muzyki i pasji. Radości ze wspólnego muzykowania. Piwo leje się strumieniami, ludzie stają się coraz weselsi, promienniejąw oczach. Podobnie rozochaca się Joachim – komplemenciarz i kobieciarz. Prosi o mój numer telefonu, nie widzę przeciwwskazań, by mu go dać, co jak się później okazuje, było dużym błędem z mojej strony.

Wychodzę przed północą, jak Kopciuszek… Sala powoli pustoszeje. Wracam przez ciche, uśpione górne miasto, jak zwykle ulicami Crown Street i Crown Drive. Okazałe domki jednorodzinne do złudzenia przypominają małe zameczki. Na dole, dla niepoznaki palą się światła, na górze śpią gospodarze.

Na kwaterze wszyscy już śpią. Mój sen nadchodzi szybko, jest to długi i spokojny sen.

Wtorek, 15 sierpnia 2017

Joachim pisze już rano, gdy jeszcze śpię, że czeka na mnie na śniadaniu. Oczywiście nie schodzę,

bo śpię, poza tym nie mam wykupionych śniadań w hostelu. Wolę żywić się na mieście. Gdy w końcu schodzę do recepcji, to zdążam zauważyć jak Joachim na dworze szykuje rower na kolejną ekstremalną wyprawę, rzędu stu dwudziestu kilometrów jednego dnia. Hardkor. I jedzie, i już go nie ma.

Dziś mam zaplanowaną wycieczkę nad Loch Ness. Idę na dworzec autobusowy. Wcześniej piję w pośpiechu gorącą kawę, ledwo zdążam na autokar wycieczkowy. Z klimatyzacją i Wifi. Przewodnikiem i kierowcą jednocześnie jest Ian, sympatyczny żartowniś, który nagminnie rozpoczyna zdanie od „*Ladies and Gentelmen*" (Panie i Panowie). Praktycznie wtrąca to, co czwarte zdanie. W planie wycieczki jest rejs statkiem po jeziorze (Margaret, którą poznałam później powiedziała, że Loch to nie to samo co jezioro, że w Szkocji jest tylko jedno jezioro, którego nazwy nie zapamiętałam, ale trzymajmy się wersji słownikowej). Ian opowiada o okolicy i miejscach wartych zobaczenia. Na statku wieje, wymraża nas siedzących na górnym pokładzie, ale warto zobaczyć niewyobrażalny majestat, urodę i skalę wielkości Loch Ness. To miejsce robi wrażenie. Jezioro ma głębokość do 250 metrów i jest największym zbiornikiem wody pitnej w Wielkiej Brytanii. Widoki są cudowne, wysokie brzegi otaczających wzgórz schodzących ostro do czarnej wody. Nie udaje mi się zobaczyć Nessie, jak miejscowi czule nazywają owianego legendą potwora z Loch Ness. Kochają go, kochają swoją legendę.

Ze statku schodzimy na przystań, u podnóża Zamku Urquhart. W sumie trudno nazwać to zamkiem, raczej ruinami, acz okazałymi i uroczo położonymi. Otacza nas wszechobecna brytyjska zieloność nasiąknięta deszczem i tłumy ludzi. Słońce w pełni, bezchmurne niebo. Na parkingu czeka już autokar z Ianem, wracając do Inverness zahaczamy jeszcze o centrum wystawowe Loch Ness, by posłuchać o prawdziwości istnienia Nessie. Ian świetnie opowiada, robi to z pasją, umie zaciekawić słuchaczy, ze szczyptą wyszukanej przyprawy – brytyjskiego poczucia humoru.

Wycieczka jest bardzo udana, po niej zgłodniała wracam na obiad do szkockiego baru z muzyką z poprzedniej nocy. Piwo plus typowe brytyjskie danie - ryba z frytkami i zielonym groszkiem (fish & chips). Jakiś facet siedzi przy oknie. Na stoliku ma rozłożone dziesięć długopisów i czysty brulion. Widzę, że próbuje pisać. Zamyśla się, patrząc w okno. Czas mija, kartka nadal niezapisana jednym nawet słowem. Brak weny, brak pomysłu. Gościu podnosi się i znika wraz z całym pisarskim orężem. Zaczyna mnie łapać senność. Pada deszcz. Robię zakupy w supermarkecie. Jutrzejsza wycieczka na Orkady będzie trwała 14 godzin, muszę więc przygotować suchy prowiant. Potem wstępuję do księgarni i, gdy krążę między półkami dostaję sms od Joachima. Otwieram szeroko oczy ze zdziwienia, to sms z, tzw. „niemoralną propozycją"… To był jednak błąd podawać mu numer telefonu. Stanowczo mu odmawiam i myślę, że tym momencie nasza krótka znajomość definitywnie kończy się. I dobrze!

Z „*Panią Dalloway*" Virgini Woolf pod pachą wracam na kwaterę. Nie muszę dodawać, że jestem potwornie zmęczona i senna. Muszę się zdrzemnąć. Nigdzie już dziś nie wychodzę. W pokoju poznaję Amerykankę z Kansas. Bardzo rozmowna, przemiła osoba. Uwielbia zwierzęta, na swojej farmie przy pomocy Państwa leczy zranione zwierzęta. To taki rodzaj zoo, tylko na mniejsza skalę. Ma dwóch synów, jeden mieszka w Finlandii i właśnie od niego wraca. Drugi mieszka w Stanach i właśnie dowiedział się, że zostanie ojcem. Moja znajoma mimo dojrzałego wieku tryska energią, bije od niej optymizm i trochę dziecięcej naiwności i radości. Tego nie traci się z upływem lat, to zostaje w człowieku na zawsze. I dobrze! Taka jest. Mówi, że Szkocję odwiedza z sentymentem, po 30 latach nieobecności. Gdy wspominam, że jutro jadę na Orkady zobaczyć m.in. maskonury (*puffiny*), zaraz zaczyna przeglądać podręczny słownik ornitologiczny. Widać, że kocha to co robi, żyje swoją pracą. Ciągle spotykam ludzi z pasjami, z nimi

przyjemnie się rozmawia, zarażają dobrym humorem i pozytywną energią.

Schodzę do kuchni szykować kanapki na jutrzejszą wycieczkę. Szybko wypijam piwko, a potem w odosobnionej salce, którą udostępnia mi ktoś z personelu, spisuję wrażenia z pobytu. Może skuszę się na kolejne piwo? Kto wie? Chociaż…jutro trzeba wcześnie wstać. Orkady czekają!

Środa, 16 sierpnia 2017

Całodniowa wycieczka: Inverness – Orkady (7 am – 9 pm day tour)

Pobudka przed szóstą rano. Wiem, strasznie to brzmi, ale nie mogę spóźnić się na autokar. To wyprawa z moich marzeń, Highlands i Orkady. Czternastogodzinna wycieczka. W nocy, jak zwykle przed ważnym wydarzeniem nie mogę spać. Boję się, że zaśpię. Że zapomnę kanapek z lodówki i będę głodować. W środku nocy przypominam sobie o konieczności zabrania aviomarinu (środka przeciw chorobie lokomocyjnej), a jest schowany głęboko w plecaku. Nie mogę spać, bo wciąż muszę pamiętać, żeby rano go zabrać (nie chcę w nocy budzić śpiących szeleszczeniem reklamówek). Myślę też o kimś, kto o mnie nie myśli…ale to już inna para kaloszy.

Wstaję nieprzytomna o 5:45 i jak zaprogramowany wcześniej robot udaję się na dworzec, ten sam z którego dzień wcześniej odjeżdżałam do Loch Ness. Dzień jest piękny, słoneczny, jeszcze cichy. Słychać tylko pohukiwania sowy i nawoływania morskich ptaków. Tworzą cudny poranny duet.

Jestem bez kawy! A bez kawy nie ma życia, szczególnie po takiej nocy. Na dworcu, na ławce obok siada bezdomna, ma w ręku kubek z kawą. Zapala papierosa. Wiem, że głupio to zabrzmi, ale zazdroszczę jej tej kawy. Ktoś ją zaczepia. Pyta o zdrowie, czy wszystko u niej w porządku. Ona odpowiada skinieniem głowy, że tak. Tak tutaj spokojnie, tak sennie. Nadjeżdża wypasiony autokar, wsiadam i zasypiam od razu. Śpię z przerwami aż do miasta prawie na końcu stałego lądu – John O'Groaths. Wypijam tylko kawę zakupioną w autokarze, o kanapkach nie ma mowy. Trzęsie, cała masa zakrętów, a mi żołądek podchodzi do gardła. Podobno ta przypadłość dotyczy tylko dzieci, a ja jako dorosła nadal ją posiadam. Czyżbym już na zawsze miała pozostać dzieckiem?

Highlands! Widoki są przepiękne, dzikie, surowe. Wszechobecne różowawe wrzosy i zielone łąki pełne pasących się owiec. Są przeróżne, białe, czarne, mieszane. Przewodnik opowiada ciekawostki, bardzo dobrym, zrozumiałym angielskim. Że tutaj w Szkocji na jednego mieszkańca przypada dziesięć owiec. Imponujące robi to wrażenie. Dzikie, strome klify ostro schodzą do Morza Północnego. Mokre od wysokich, wzburzonych fal skały wzbudzają respekt. Małe domki z kamienia zanurzone w gęstwinie krzaków i niewysokich drzew są urocze, wyglądają jakby penetrowały okolicę. Łany dojrzałych zbóż. Bujna i jaskrawa zieloność traw nasiąkniętych nieustannym deszczem. Nigdzie indziej takie nie są. Tutaj kolory są inne, głębokie, pełne życia. W autokarze szyby są krystalicznie czyste, można robić zdjęcia w drodze.

Szkocja to kraj głównie rolniczy, takie są Highlands. Tutaj życie płynie wolniej, czas się zatrzymał. Nie

ma pospiechu wielkich miast, zbędnego hałasu i chaosu, jest wymarzona cisza i spokój, o takim miejscu można marzyć… Urocze miasteczka np. Hemsdale i małe wioski. Zagubione przy drodze domki, niektóre opuszczone. Owce wodzą wzrokiem za przejeżdżającym autokarem. Ciekawe co sobie myślą?

Niedobrze mi, doskwiera choroba lokomocyjna. Wypiłam tylko kawę. Powoli zbliżamy się do końca stałego lądu, do John O'Groats, skąd odpływa prom na wyspy Orkady. Jest tam ładny hotelik, kilka budek z pamiątkami i gastronomią oraz miejsce, gdzie można kupić bilety na prom. Jest informacja turystyczna oraz znak o kierunkach świata. Uroczy zakątek. Spotykam tam parę, która spędziła tu noc. Wczoraj byli na Orkadach. Są szczęśliwi, uśmiechnięci – to widać. Orkady uznano za najszczęśliwsze miejsce do życia w roku 2016. Inverness, które było takim miejscem w 2014 i 2015 roku, ustąpiło im miejsca. Czuć to szczęście, szczęśliwy spokój, dla wielu nieosiągalny…

Pan John O'Groats przed laty stworzył połączenie promowe z Orkadami, dlatego jego imieniem nazwano to miejsce i całe miasto oddalone o kilkadziesiąt kilometrów stąd. Przewodnik opowiada ciekawą historię jego życia, że miał siedmiu synów... Prom płynie do Burwick. Słabo buja, na wodzie jest nawet przyjemnie. Relaksuję się, odpoczywam psychicznie, niczego mi nie brakuje. Patrzę i czekam co będzie dalej? Jakie okażą się tajemnicze Orkady, które kiedyś wydawały mi się lądem z innego świata, tak odległym, że nieosiągalnym, a jestem tu teraz. Jestem!:)

Z daleka widać wyspy, lekko kołysze. Pogoda cudowna, słoneczna, a miało przecież padać cały dzień. Prognozy się zmieniają, może dla mnie? Dla mojego pierwszego razu, może jedynego, kto wie?

Autokar z nazwą „Highlands" czeka na przystani. Zajmuję miejsce, intryguje mnie, co będzie dalej. Z nami jedzie wycieczka Włochów. Są głośni i weseli. Jakaś dziewczyna rzuca czapkę na siedzenie obok mnie, zajmuje komuś miejsce. I zjawia się on, uśmiechnięty i przystojny Włoch. Od razu zawiera ze mną znajomość. Ma na imię Eugenio! Zaczyna się tak zabawnie, bo mówię po włosku i on jest tym zaskoczony. Cieszy się niezmiernie, ja także. Kocham język włoski, Włochy i ludzi tam mieszkających. Są ciepli i przyjaźni. Rozmowa toczy się tak naturalnie, tak płynnie, jakbyśmy znali się od lat, a przecież dopiero co się poznaliśmy. Czuć empatię, wzajemne porozumienie i zainteresowanie. Czujemy się swobodnie i słuchamy wzajemnie, nie tylko słyszmy. Od razu zapamiętuje moje imię i używa go. Często się uśmiecha, ma takie niebieskie oczy. Piękny kontrast, kruczoczarne włosy i niebieskie oczy. Mieszka w Rzymie. Z grupą przyjaciół wynajętym samochodem podróżuje po Szkocji. Śmiejemy się, żartujemy, podziwiamy widoki. Bliskość serc i dusz, spontaniczny dotyk, nachylenie ciał. Rozmawiamy oczywiście po włosku. Grupa Włochów jest głośna, włącznie z nami. Przewodnik nas ucisza. Potem już tylko słuchamy tego co on mówi. Patrzymy, Eugenio nie zna angielskiego, nic nie rozumie.

Orkady są dzikie i piękne. Surowa przyroda wycisnęła piętno na mieszkańcach. Są twardzi, ale spokojnie uśmiechnięci, nie walczą z żywiołami, z tym co nieuniknione. Poddają się im. Mijamy wraki statków zatopione w morzu, wystają tylko ich wierzchołki. Siedzą na nich morskie ptaki. Przewodnik chyba lubi historię, bo wciąż opowiada o wojnie.

Scapa Flow, duży akwen wodny wewnątrz Orkadów. Historia toczy się wokół. Robię zdjęcia. Słucham o tym, że w domach z kamienia nie słychać jak wieje wiatr. Jest w nich przyjemnie cicho i ciepło. Dopiero jak się wyjdzie na zewnątrz, to porywisty wiatr przewraca, wieje z prędkością 95 km/h i więcej.

Kirkwall – stolica Orkadów. Mamy tu godzinę postoju. Czas wolny. Idę szybko do katedry, lubię kościoły, ich wnętrza i atmosferę tam panującą. Potem odwiedzam sklepiki przy głównym deptaku. Wy-

pijam kawę w Pamona Cafe. Gdy tam jestem zagląda Eugenio z grupą przyjaciół. Nie wchodzą, machają mi. On z uśmiechem wymawia moje imię i idą dalej. Miły gest. Szukam prezentów wśród morza pamiątek. Czas mija szybko. Trzeba wracać do autokaru. Dostrzegam biały budynek z szyldem „BBC Radio Orkney". Cudownie, mają tu własne radio. Taka mała rzecz, a cieszy. Jedziemy dalej. Pejzaż dziki, zielony. Krowy i owce. Mało domów, w oddali wysokie góry, woda, Morze Północne, a może i Ocean Atlantycki. Tutaj prawie wcale nie ma drzew. Jest tyle soli w powietrzu, że nie rosną tu drzewa.

Scara Brae – prehistoryczny skansen sprzed pięciu tysięcy lat, wpisany na światową listę dziedzictwa Unesco. Mamy godzinę czasu wolnego. Kupuję sobie dwie pamiątki – torbę i piwo z Orkadów. Potem wyruszam na zachwyty. Stare zabudowania z kamienia porośnięte jaskrawozieloną trawą robią wrażenie. Patrząc, mogę sobie wyobrazić jak tutaj kiedyś żyli ludzie. W tej surowej krainie w bliskiej bliskości morza. Dzika plaża, wieże ułożone z kamieni, jak w Estonii nad Zatoką Ryską. Ten sam klimat, podobnie mistycznie. Żółte kwiaty wśród wysokich traw. Wieje silny wiatr. Znajduję schronienie w domu odkrywcy tego miejsca. To taki mały zameczek, ze starymi wnętrzami. Oglądam porcelanę w jadalni, książki w bibliotece, skórę tygrysa na podłodze i sypialnie ich obojga i każdego z osobna. Kolejka do toalety, jak zwykle dłuższa dla kobiet. Pogoda zmienia się, będzie padać deszcz.

Zmęczona wracam do autokaru, a tam już uśmiecha się do mnie Eugenio. Trzyma dla mnie miejsce. Jak tu się nie radować? Jak miło widzieć promienie słońca w jego oczach. Tak się nazywa szczęście…

Ring of Brodgar – krąg utworzony z wysokich kamiennych bloków. Wewnątrz i na zewnątrz wysokie, kolorowe łąki. Spaceruję tylko z Eugenio. Jesteśmy sami, wśród tłumu pasażerów. Jego przyjaciele zostawiają nas samych, uśmiechają się tajemniczo. Nie przeszkadzają naszej intymności we dwoje. Jest uroczo, magicznie, mimo, że zaczyna padać deszcz. Coraz intensywniej. W pospiechu robimy zdjęcia, sobie również. Rozmawiamy i na przemian milczymy radośnie. Mogłabym się w nim zakochać, gdybym mogła.

Wracamy do autokaru. Z okien widzimy owce oraz inne kamienne miejsce zwane - Standing Stones of Stenness. Nie mamy czasu, żeby się zatrzymywać. Szyby są tak czyste, że można robić przez nie całkiem dobre zdjęcia.

Ostatni postój, krótki. Italian Chapel – kaplica zbudowana przez włoskich żołnierzy podczas wojny. Piękna biało-czerwona fasada. Eugenio jest blisko mnie. Jest miło, bardzo miło, ale chwila rozstania przybliża się. Smutek narasta.

Eugenio. Siedzę obok zanurzona w swoich myślach. Mogłabym się z nim zakochać, zatonąć w jego niebieskich oczach. Drżę od jego dotyku. Przy nim jest mi po prostu dobrze, a jednocześnie…czuję wzajemnie silne emocje. Gdy pyta, czemu milczę i czy jestem zmęczona. Odpowiadam, że myślę. Kocham dwa kraje, Wielką Brytanię i Włochy, teraz, przy nim czuję, że mam w Szkocji, w tym autobusie moją małą Italię. Jestem szczęśliwa, uśmiecham się. Kto wie, co by było, gdybyśmy wrócili razem do Inverness. Gdybyśmy zostali tam sami, wędrowali nocą wzdłuż rzeki Ness.

Czasem tak żal, że spotykamy kogoś tak niezwykłego, ciepłego, uroczego, a nasze drogi muszą się rozstać. Nieubłagany los… Wszystko zależy od przypadku, od łutu szczęścia, szczęśliwej gwiazdy. Eugenio. Nachylamy się ku sobie, słuchamy wzajemnie. Okazuje mi atencję. Rozmawiamy o empatii, o sztuce, o książkach – wszystko po włosku. Piękny język - La lingua bella. O biciu serca. Mówi, że moje serce bije, tak jak włoskie. Jest we mnie umiłowanie piękna i dużo ciepła. Żartuję, że płynie we mnie włoska krew przodków, o których istnieniu nic nie wiem. Mówi, że jestem sympatyczna. Że jestem: *una bella persona*

(piękna osoba). Jest nastrój, klimat do wszystkiego, co mogłoby się wydarzyć, gdyby tylko mogło. Rozmawiamy o rodzinie, o ludziach, o naszych krajach.

Żegnamy się na przystani, stojąc na uboczu. Obejmuje mnie…czuć szczęście i smutek, one zawsze są nierozłączne. Mówi, że to był piękny dzień (*una bella giornata*). Dziękujemy sobie, za cudny czas razem. Odchodzę, nie oglądam się za siebie…smutno tak. Wracam na prom płynący do John O'Groats. On idzie do swoich przyjaciół, a potem pojadą do Thurso. Ja pojadę do Inverness, myśląc o pięknym dniu, darze z niebios. Cudny, niezapomniany prezent.

Na promie dopada mnie melancholijny nastrój. Otacza wzburzone Morze Północne. Żegnam się myślami z Orkadami. Na zawsze już będą mi się kojarzyć z Eugenio. Buja, straszliwe fale, moja choroba lokomocyjna daje o sobie znać. Prom wznosi się i opada z pluskiem. Nie daję rady siedzieć. Kładę się na ławce i zamykam oczy. Jest strasznie! Byle dopłynąć do brzegu. W końcu widzę na nabrzeżu uroczy hotelik przypominający kolorowe domki Muminków. Schodzę na ląd. Autokar już czeka.

Powrót do Inverness. Przede mną trzy godziny jazdy. Biorę aviomarin – mój niezbędnik, odchylam siedzenie najbardziej możliwie i zasypiam. Budzę się czasami, robię zdjęcia wybrzeża (Moray Firth). Owce tak spokojnie patrzą, rozumieją mój szczęśliwy smutek. Są pogodzone z losem, tego powinnam się od nich nauczyć. Nieodmiennie przypomina mi się książka Murakamiego „*Przygoda z Owcą*". Chciałabym kiedyś pojechać do Japonii, zobaczyć miejsca o których pisał mój ulubiony autor. Kto wie? Może znów wydarzy się to, o czym marzę?

Zaczyna padać deszcz. Sen, jawa, sen, jawa, sen… Pozostali wycieczkowicze też jacyś smutni, cisi, przygnębieni, a może tylko zmęczeni. Choroba lokomocyjna nie pozwala mi na nic innego niż trwanie w pozycji półleżącej.

Przede mną siedzą stary człowiek i młoda dziewczyna – Chinka. Pucołowata, w okularach i wysoko upiętym kokiem. Zaraża uśmiechem, jest szczery, głośny. Starszy pan też się śmieje. Ma częściowo sparaliżowaną twarz, jego uśmiech jest złamany na pół. Ma ufarbowane na czarno brwi i rzęsy. Dobrze mu z nią, to widać. Pewnie jest jego opiekunką, płaci jej za to, że jest, za jej radość, która staje się jego radością. Może? Nie sądzę, żeby byli parą.

Inverness. W końcu docieramy na dworzec autobusowy. Po czternastu godzinach wycieczka dobiega końca. Wreszcie mogę iść na spacer, zrzucić z siebie pozostałości choroby lokomocyjnej. Idę nad rzekę, do irlandzkiego pubu Fox. Może będzie Kilkenny. Niestety nie ma, jest tylko Ginness, którego nie lubię. Never mind. Kupuję - *Caledonia best*. Jest pyszne. Jak bosko po całym dniu jest ugasić pragnienie schłodzonym jasnym piwem typu ale… Piję powoli, potem wracam do hostelu. Pakuję się i idę spać. Jutro wyjazd do Aberdeen.

Czwartek, 17 sierpnia 2017

Po trzech dniach i czterech nocach opuszczam Inverness. Był to czas pełen pięknych wrażeń i nie-

zapomnianych emocji. Pobudka o siódmej rano. Finalne dopakowanie i jestem prawie gotowa do wyjścia. Jeszcze tylko kawa na dole przy recepcji i surfowanie po Wifi. Spędziłam w hostelu miłe chwile, choć warunki były proste. Było czysto i ciepła woda, a to podstawa dobrego pobytu. Obsługa była bardzo miła i pomocna. Pożyczyli mi kłódeczkę z kompletem kluczyków do szafki. Także adapter, bym mogła ładować telefon, bo mają tu inne wtyczki/gniazdka elektryczne. Piję cappuccino z posypką czekoladową. Myślami żegnam się z Inverness, z Loch Ness, a przede wszystkim z mistycznymi Orkadami.

Idę na dworzec kolejowy. Nie spieszę się. Pociąg mam dopiero o dziewiątej. Zajmuję miejsce przy oknie, przy stoliku, na którym spisuję wrażenia z wycieczki z poprzedniego dnia. Nawet nie wiedziałam, że tak dobrze pisze się w pociągu, przy dźwiękach stukotu żelaznych kół. Pociągi tutaj jeżdżą inaczej, bardziej płynnie, mniej hałaśliwie niż w Polsce. Sama przyjemność podróżowania. Są punktualne i bardzo czyste w środku. Siedzenia, stoliki, okna i wszystko. Podczas podróży ktoś z obsługi przejeżdża z wózkiem (a'la Wars). Można kupić napoje ciepłe i zimne, piwo i wino. Słodycze, kanapki i słone przekąski. Ta sama osoba później przechodzi z workiem przez pociąg i podobnie jak w samolocie zbiera śmieci od pasażerów (kubki, opakowania po kanapkach i inne odpady). Panuje tutaj czystość i higiena. A propos higieny. Toalety są przestronne, zaopatrzone w wodę, piankę do mycia rąk i suszarkę. Na stacji w Inverness stoi nocny Caledonian Sleeper – nocny pociąg kursujący aż do Londynu. Świetna sprawa! Może kiedyś… Na zakończenie dodam, że wszystkie pociągi w Szkocji są granatowe. Wszystkie są jednakowe, bo obsługiwane przez jedno tylko przedsiębiorstwo – ScotRail, Scotland's Railway.

Krajobrazy za oknem zmieniają się, w pociągach nigdy nie mam choroby lokomocyjnej. Podróż jest komfortowa. Mijam stację Elgin, zanurzamy się w głąb lądu. Potem Huntly. Aż do Aberdeen. Śniadanie zjadam w pociągu, popijam wodą. Za oknem pejzaż późnego lata. Żółć dojrzałych zbóż przeplata się z ciemną zielenią drzew. Żółtozielona szachownica pól. Rwące strumienie. Wysokie wzgórza. Czarne i brązowe krowy. Lasy porastające stoki wzgórz. Różowe kwiaty, tak ładne, których nazwy nie znam. Będą mi towarzyszyć podczas wyprawy kolejnego dnia (ale teraz cicho sza). Żółte kwiaty. Domy, domki i domostwa. Wąskie drogi. Bezchmurne, uśmiechnięte niebo. Łąki w rozkwicie polnych kwiatów. Ptaki. Traktor orzący pole. Wszystko wesołe, żywe, radosne. Słońce mruga do mnie okiem. Zapowiada się piękny dzień. Dzień w Aberdeen, w którym nigdy nie byłam. Kusi tajemnicą i śpiewną nazwą.

Pełno owiec. Kocham te stworzenia, kocham ich spokój. Zieloność łąk. Wysokie, dzikie trawy i krótko przystrzyżone trawniki. W powietrzu unosi się biały puch. Insch (Innis) – na stacjach są dwie nazwy miejscowości. Górna w języku angielskim, dolna w języku gaelickim szkockim, starym szkockim, którym włada tylko około pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Zauważyłam tę dwoistość już w Inverness, której nazwa w języku gaelickim brzmiała zupełnie inaczej – Inver Niss. Wysokie wiatraki, źródło energii wiatrowej. Tereny wypłaszczają się. Inverurie (Inbhir Karaidh). W końcu Aberdeen (Obar Dheathain).

Chcę od razu kupić bilet na pociąg powrotny do Edynburga. Cena wynosi aż 35, 40 SCP (funty szkockie). Nie kupuję. Idę na kwaterę. Chcę zostawić plecak, ciężko mi, na sercu również. Szukam domu dla gości (guest house), jak zwykle z małym zagubieniem. W końcu go znajduję i dzwonię do drzwi. Po chwili otwiera mi starszy pan i prowadzi na górę, na drugie piętro. Wszystko o mnie wie od Irene, z którą wcześniej korespondowałam e-mailowo. Przemiła kobieta.

Pokój ku mojemu zdziwieniu jest już gotowy. Mogę zostać, nie tylko zostawić rzeczy i zjawić się dopiero o szesnastej. Tom, bo tak ma na imię starszy pan daje mi klucze do pokoju i pokazuje łazienkę. Uczy obsługi zamka przy drzwiach, blokada jest przedziwna. Nigdy takiej nie widziałam. Gdy pytam o adapter do gniazdka elektrycznego, to mówi, że coś skombinuje i po godzinie się z nim zjawia. Z nieba mi spadł, bo

bateria w telefonie jest na wyczerpaniu.

Zostaję w pokoju. Drzemię, odpoczywam. Potem decyduję się na kupno biletu kolejowego przez Internet. Okazuje się być 10 funtów tańszy! To spora różnica. Zaoszczędzę na pyszny obiad. Jestem radosna i pełna energii. Chcę iść nad morze w taki piękny, słoneczny dzień. Po drodze odbieram (drukuję) bilet w automacie na stacji kolejowej. Teraz to bułka z masłem. Jak sobie przypomnę stres, który przeżywałam przed pierwszym razem, to śmieję się sama z siebie. Szukając informacji turystycznej, robię dwubananowe zakupy w Sainsbury's. Potem idę ze skórkami główną ulicą miasta, bo nie mogę znaleźć kosza na śmieci. Wreszcie okazuje się, że jest ich mnóstwo. Mijałam je wszystkie, tylko nie wiedziałam, że są koszami. Zabawne.

Docieram do informacji turystycznej. Obsługuje mnie przemiły chłopak, Szkot, a mimo to nie mam problemu ze zrozumieniem go. Jest bardzo pomocny. Tłumaczy co warto zobaczyć w mieście i okolicach. Jak dotrzeć na plażę. Daje mapy i foldery. Drukuje rozkłady jazdy. Bilet dobowy obejmuje zestaw autobusów z nazwą First, w ścisłym centrum. To wydatek rzędu czterech funtów. Warto wiedzieć, bo gdy będę zmęczona, może skorzystam. Chłopak proponuje zamki nad morzem i w głębi lądu. Jest ich kilka. Pokazuje zdjęcia, jeszcze nie wiem, na który się zdecyduję. Tak zaangażowanego w swoją pracę osobnika u nas w Polsce ze świecą szukać. U nas każdy robi wszystko z łaski, bo mu każą lub jest nadgorliwy i sieje zamęt.

Poleconym bulwarem idę nad morze. Jestem głodna. Plaża jest bardzo ładna, rozległa, czysta. Widać falochrony, statki daleko na morzu, wieje silny wiatr. Jestem coraz bardziej głodna! Nie ma żadnej brytyjskiej knajpki, brak mi ryby z frytkami oraz dobrego piwa z kega. Jestem zła, wściekła wręcz, bo nic takiego nie ma w pobliżu. Same amerykańskie sieciówki. W końcu trafiam do włoskiej restauracji. Dostaję beznadziejną suchą pizzę, która nijak się ma do tej najlepszej we Włoszech, którą jadłam w Neapolu - w *L'Antica Pizzeria da Michele*. Mam wrażenie, że jem trociny. Na dodatek nie ma szkockiego piwa z kega, nie ma nawet klasyki włoskiej – piwa *Peroni*. Szok w trampkach! Co to za włoska restauracja? Chyba bazują na nieznajomości przez turystów prawdziwej włoskiej kuchni. Dodatkowo obsługa strasznie hałasuje sprzątając, jakby chciała jeszcze bardziej mniej rozsierdzić.

Po byle jakim obiedzie spaceruję po plaży. Jest ładnie. Długo idę, wiatr targa moje włosy. Ludzi niewiele, nikt się nie kąpie. Odchodzę w kierunku znaku Seaton. Okazuje się, że to pola golfowe. Nigdy nie widziałam ich z bliska. Idę dalej wąską ścieżynką, która czasem znika w gęstwinie moich ulubionych różowych kwiatów. Jakiś samotny mężczyzna z psem pyta dokąd zmierzam, a potem pomaga mi znaleźć drogę na Uniwersytet. Na chwilę przystaję obok i patrzę jak trenuje. Mówi, że na jakieś zawody. Jest bardzo skupiony, uderzając kijem w maleńką piłeczkę. Niewiele większą od piłeczki do ping-ponga. Pozwala ją wsiąść do ręki (jest również trochę cięższa). Potem mijam jakieś dziwne osiedla zamieszkane przez Rosjan.

W końcu trafiam na Uniwersytet. Jest bardzo stary i rozległy. Po prostu piękny. Stare budowle usytuowane wśród zieleni. Spotykam białego kota o niebieskich oczach. To ewenement, nigdy takiego nie widziałam. Zastanawia mnie ile wyjątków spotkam tutaj w Szkocji, wyjątków od tego co mi znane. Kot jest śliczny. Podchodzi do mnie. Łasi się, a gdy kucam wskakuje na kolana. Jego pazury boleśnie wbijają się w skórę ud. Mam cienkie spodnie, niestety kolego musisz ze mnie zejść. Spycham go delikatnie. Jesteśmy jeszcze trochę razem. Robię mu zdjęcia. Jest niewinnie słodki. Taki spokojny, ciepły, jak dobry dziadek. Odwiedzam kaplicę w King's College (Colaiste An Righ). Brytyjskie ogrody. Dwie wieże. Bibliotekę ozdobioną figurami węży. W tej ciężkiej chwili zmęczenia i odosobnienia jest ze mną ktoś mi

bliski. Po prostu jest albo aż jest. Nie czuję się samotna, choć jestem sama. Nogi włażą mi dosłownie w…d. Od kilku godzin marzę o dobrym piwie. Wreszcie opuszczam miasteczko uniwersyteckie (University of Aberdeen = Oilthigh Obar Dheathain).

Znajduję w końcu pub. To Red Lion (czerwony lew), a ja usłyszałam Dead Lion (zdechły lew) i dziwię się skąd taka potworna nazwa dla pubu. Ach to zmęczenie daje się we znaki. Zamawiam piwo. Jasny, szkocki lager – *Tennent's* smakuje wybornie, szczególnie po wielogodzinnym oczekiwaniu. Będąc w Szkocji piję tylko szkockie piwa. Taki kaprys, a raczej dobry wybór. Delektuję się, odpoczywam z nogami na stołeczku i surfuję po Internecie. Żyć nie umierać, niczego mi więcej do szczęścia nie potrzeba. Pojawiają się stali, starzy bywalcy. Łysy pan z psem. Zamawia piwo i siada na stołku przy barze. Uprzejmie pyta, czy nie przeszkadza mi pies. Nie lubię psów, ale przytakuję, że nie. Pies jest wyjątkowo przyjazny. Kładzie się na podłodze pod moimi nogami, zamiast przy właścicielu. Nie wiem czemu, może czuje, że dziś bardzo potrzebuję towarzystwa? Czy psy są na tyle mądre i mają taką empatię, że potrafią wyczuć nastrój nawet u obcych, nowopoznanych osób?

Pojawia się starsza pani. Jest chyba trochę upośledzona umysłowo. Jest miejscowa, ciągle mówi i często chodzi do toalety. Kończę piwo i idę dalej do centrum. Przede mną daleka droga. Zaczyna padać deszcz, coraz intensywniej.

Docieram do centrum. Okrążam Marischal College i biegnąc w rzęsistym deszczu, trafiam na Littlejohn street (ulica Małego Jana), gdzie znajduję fajny bar. Jest prawie pusty. Oprócz mnie jest tam tylko para pijąca piwo i obsługa. Jestem głodna, zostaję. Zamawiam upragnioną rybę z frytkami i nowe, nieznane mi szkockie piwo – *Joker IPA*. Jest lekko słodkie. Pan z obsługi co chwila skacze koło mnie, nie ma zbyt wielu gości, pewnie dlatego jedzenie dostaję szybko i bardzo gorące. I smaczne. Jem i piję. Goście znikają, zostaję sama z obsługującym mężczyzną. Podobnie jak rok temu w Rydze. Fajny lokal, przyjemny. Gra dobra muzyka. Facet kilka razy pyta mnie, czy wszystko w porządku. Odpowiadam z uśmiechem, że tak. Pyta czy chcę: „*one more beer*" (jeszcze jedno piwo), odpowiadam, że jedno wystarczy. On na to, że jedno nigdy nie wystarczy. Płacę. Pyta, czy jutro też przyjdę, odpowiadam zgodnie z prawdą, że nie wiem. Mówi, że jutro będzie duża impreza – stypa po matce właściciela, żebym przyszła, bo będzie fajnie. Z początku myślę, że na pewno nie przyjdę, po pewnym czasie jednak dochodzę do wniosku, że może jeszcze rozważę jego propozycję. Facet jest całkiem przystojny, ma ładną twarz, męską jak rybak. I pełno tatuaży na całym ciele. Intrygujący typ. Może zjawię się na tę stypę, kto wie?;)

Zabawna sytuacja przy wychodzeniu. Nie zauważyłam drzwi, bo były szklane i uderzyłam w nie czołem. Z całej siły, jak Jodie Foster w filmie „*Nell*". Na szczęście obeszło się bez krwi, pozostał tylko guz. Masuję intensywnie, aby się rozszedł. Trochę tu odpoczęłam i pośmiałam się. Idę przez nocne Aberdeen i szukam dworca autobusowego – jutro wycieczka do nadmorskiego zamku, jednego z poleconych mi przez chłopaka z IT. Robię jeszcze zakupy w supermarkecie. Ciekawe, po godzinie dwudziestej drugiej nie można kupować alkoholu. Chcę kupić piwo o wdzięcznej nazwie *Macbeth*, a dziewczyna przy kasie odmawia sprzedaży. Bardzo ciekawe. A może to i dobre rozwiązanie dla miasta.

Wracam na kwaterę zmęczona po ciężkim dniu. Gorąca herbata – to jest to czego mi potrzeba. Jakim luksusem jest posiadanie własnego pokoju, z czajnikiem elektrycznym, herbatą i kawą. Mam też małą lodóweczkę, do której chowam zakupy spożywcze. Po kąpieli nabieram sił na spisanie wrażeń z tak długiego dnia. Jest po północy, czas spać.

Piątek, 18 sierpnia 2017

Jak cudnie śpi się we własnym pokoju, gdzie nikt nie budzi, nie hałasuje, nie chrzęści papierami, ani torbami. Nie zagaduje, nie przeszkadza w wolności. Od razu przypomina mi się dawno przeczytany esej „*A room of my own*" („Mój własny pokój") Virginii Woolf. To był długi, spokojny i dobry sen. Za oknem pada deszcz, ale i tak planów nie zmieniam. Co postanowiłam, to zrobię. Na dziś celem jest zamek Slains Castle – inspiracja dla powieści o Draculi, słynny szkocki zamek położony na ostrym klifie w Cruden Bay.

Leje, nie pada. Dziś testuję moją kurtkę Craghoppers. Ma być oddychająca, super wytrzymała na deszcz i wiatr oraz inspirować nowych poszukiwaczy przygód. Zobaczymy:)

W strugach deszczu podążam na dworzec autobusowy, gdzie dowiaduję się, że mój autokar odjeżdża ze stanowiska numer jedenaście. Trochę czekania przede mną, jem kanapkę i obserwuję morskie ptaki krążące z krzykiem nad dworcem. Gdy transport w końcu nadjeżdża kupuję bilet tam i z powrotem, do Cruden Bay i zajmuję miejsce na umożliwiającym lepsze widoki górnym pokładzie. Po szybach spływają kaskady wody, więc o robieniu zdjęć nie ma mowy. Mam jedno skromne marzenie, aby choć na chwilę przestało padać, choć na czas mojego pobytu nad morzem. Niektóre marzenia nigdy się nie spełniają, wiem, ale bądźmy dobrej myśli.

Jadę wzdłuż morza, którego brzeg przybliża się i oddala… Statki na morzu wyglądają jak flotylle piracki. To przez tę mgłę i deszcz (*misty weather*). Niesamowite wrażenie. Krajobraz jest płaski, krowy moknąą na pastwiskach. Owce, te które mogą, chowają się pod drzewami. Czy są mądrzejsze?

Cruden Bay. Tu wysiadam i szukam jakiegoś znaku, który wskazałby mój cel - zamek Slains Castle. W końcu go widzę na horyzoncie przed sobą i w tym kierunku się udaję. Pan w informacji turystycznej stanowczo mi odradza wędrówkę klifem w kierunku Bullers of Buchan, bardzo niebezpiecznego miejsca, gdzie można spotkać maskonury (*puffiny*). Niestety nie udało mi się zobaczyć ich na Orkadach, stąd wybór tego zamku właśnie, gdzie istnieje wysokie prawdopodobieństwo ujrzenia tych słodkich i tajemniczych ptaków. Pan mówi, że to bardzo niebezpieczne w taką pogodę, gdy droga jest błotnista i grząska, a skały śliskie. Nawet i przy sprzyjającej aurze wędrówka może być ryzykowna. Jestem bardzo, bardzo zawiedziona, bo maskonury (a swoją drogą kto wymyślił tak ohydną, nieromantyczną nazwę dla tych urokliwych ptaków) oprócz zamku na klifie miały stanowić jeden z dwóch punktów programu. Pan jeszcze mówi, może aby mi ostatecznie wybić mój pomysł z głowy, iż wcale nie ma pewności, że *puffiny* dziś tam będą. Przy takiej wrednej pogodzie…

Ruszam błotnistą ścieżką przez las, do złudzenia przypominający ten z filmu „*Fortepian*" Jane Campion. Zachwycam się jego urodą, mrokiem, tajemniczością i wszechobecną wilgocią, w każdym jego zakątku. Idę wzdłuż rzeki, przeskakuję przez kałuże. Mijam dojrzałe łany zbóż, w pewnym momencie myślę nawet, że się zgubiłam. Droga wydaje się ciągnąć w nieskończoność, a miała mi zająć raptem piętnaście minut. Nagle, w oddali zaczynają wyłaniać się zarysy zamku. Wschodzą, dosłownie kiełkują z ziemi jak młode pędy roślin. Stają się coraz większe, wyższe, im jestem bliżej. Z każdym krokiem czuje rosnący zachwyt. Widzę już morze i wysokie klify. Cudowne. Nigdy takich wcześniej nie widziałam. Surowe morze pełne groźnych ryków, nieustannej walki fal z granitowymi skałami i wrzasków morskich

ptaków. Fale są spienione, groźne. Straszliwa kipiel wodna i silne podmuchy wiatru. Ptaki stanowią odległe białe i czarne punkciki na samotnych skałach, jak ćwieki na czarnej skórze.

Ciągle pada, ani na chwilę nie zdejmuję kaptura. Plecak i torebka schowane są pod kurtką. Pewnie wyglądam jak podwójnie ciężarna, z przodu i z tyłu, ale co mi tam. Jestem tu sama, dosłownie. Sama na końcu świata, nad klifem wzburzonego Morza Północnego i czuję się szczęśliwa. Spokojna i spełniona. Lubię ryzyko, a tu ryzykuję poślizgnięciem się i utonięciem w morzu, gdy stąpam po mokrych kamieniach i skałach. Spaceruję po ruinach zamku. Są zaniedbane, straszne. Nie ma podłóg, ani sufitów, stoją tylko puste mury bez okien. Wspinam się po schodach, boję patrzeć w dół, z kolejnych poziomów pozbawionych podłóg. Wystarczyłby jeden mały błąd, a mogłabym nie napisać tej historii. Schodzę, przytulając się do wilgotnego muru. Wreszcie na dole, uff. Zamek robi wrażenie dawnej świetności i mroczności. Pozostawia smutne poczucie zapomnienia. Nic nie trwa wiecznie. Wszystko ma swój kres.

Spędzam tam dwie godziny. Podziwiam dziką, surową naturę. Warto było tu przyjechać mimo deszczu i niepogody. Ona tylko wzmogła urok i tajemniczość tego miejsca. Idę kawałek wzdłuż klifu, błotnista ścieżka ugina się pode mną. W butach chlupie woda, pewnie można by wyżymać skarpetki. Robię zdjęcia niespotkanym nigdzie wcześniej roślinom. W oddali zamek znów tonie w wysokich trawach dzikich łąk. Jest pięknie i straszliwie jednocześnie, czuję grozę i szczęście.

W drodze powrotnej do miejscowości Cruden Bay na chwilę przestaje padać. To pozawala mi zdjąć kaptur i zauważyć tutejszą niezwykłość. Pomarańczowożółte maliny! Są cierpkie w smaku, gorzkawe z lekką nutą słodyczy. Od razu nasuwa mi się skojarzenie z maliną Moroszką porastającą mroźną Syberię. Tylko skąd tutaj malina Moroszka. A może to taka szkocka hybryda? Delektuję się nieznanym smakiem. Kolejna niesamowitość Szkocji urzeka.

Przekraczam wilgotny las i wracam do Cruden Bay. Łapię autobus powrotny do Aberdeen i zapadam w drzemkę. Nareszcie sucho, kurtka schnie na oparciu siedzenia. W mieście wypijam mocną kawę przy głównej ulicy – Union Street, a potem ruszam do ratusza (Town Hall). Oglądam tam ile można, na ile pozwala mi Jim – przemiły Szkot z obsługi. Patrzę na pomnik młodej królowej Wiktorii. Wspinam się po ślicznej, drewnianej, wijącej się klatce schodowej, takiej jakie lubię. Jest bardzo uprzejmy. Rozmawiamy. Mówi, że nie widział tyle w całym swoim życiu, co ja w ciągu tych kilku dni wakacji.

W Marischel College, skąd, jak powiedział mi chłopak z IT, miała być widoczna rozległa panorama miasta, dostaję odpowiedź odmowną. Niestety nie można wspiąć się na wieżę, jest niedostępna dla turystów. Z rozpaczy (mrugam tutaj okiem;)) idę więc na piwo do lokalnego browaru Brew Dog. Po degustacji kilku smaków, decyduję się na '*5 am Saint*' (Święty z piątej nad ranem). Dziwna nazwa, dziwne skojarzenie. Piwo jest dobre, mocne, czuję je w sobie, napływa do mięśni, rozluźnia mnie, rozgrzewa. Sączę je powoli. Potem zachodzę do katedry Św. Andrzeja – niestety zamknięte. Obiad zjadam w pubie dominikańskim (*Old Blackfriers*), jest święty tylko z nazwy. W środku panuje rozpusta i piwopicie. Smakoszy tu nie brakuje. Miło schronić się przed deszczem w takim miejscu. Zjeść pyszny i gorący haggis z sosem z whisky. To szkocka specjalność, której nie zamierzam sobie szczędzić.

Po obiedzie spaceruję po deszczowym Aberdeen. Tutaj kościoły zamienione są w puby. Nie kłamię! Wchodzę do jednego z nich, a tam pub o fajnym mrocznym wnętrzu z głośną muzyką i ludźmi pijącymi albo podrygującymi i pijącymi. Pełen luz. Świetny pomysł! Dowiaduję się, że w Aberdeen jest takich aż pięć. Rewelacyjne wykorzystanie opustoszałych wnętrz. Elegancko ubrani ludzie walą tam tłumnie, z uśmiechem i entuzjazmem. A nie, jak do kościoła, umartwiając się i ze spuszczoną głową. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby coś takiego mogło zdarzyć się w Polsce. Żeby na przykład Katedrę Św. Jana

na Starówce w Warszawie albo Bazylikę Mariacką na Rynku w Krakowie zamienić w wielki, gotycki pub. Zupełnie NIE mieści mi się to w głowie, a wyobraźni mi nie brakuje;)

Ostatkiem sił trafiam do pubu na mojej ulicy. Nazywa się „*the Stag*" – Jeleń. Mam zamiar spokojnie wypić piwo, ostatnie piwo w Aberdeen i po prostu grzecznie iść spać. Dzieje się jednak inaczej. Do psot przekornie namawia mnie mój przyjaciel. Zaczyna się od niewinnej fotki przy barze. Z tytułowym jeleniem w tle. Tak poznaję Jamie'go i jego kumpli. Potem kumple wychodzą i zostaję sama z uroczym Szkotem, z urody podobnym do Włocha. Rozmawiamy sobie miło, nieśpiesznie... W ogóle tej nocy zawieram dużo znajomości. Zaczepia mnie starszy mężczyzna, którego ni w ząb nie mogę zrozumieć. Myślę, że to nie tylko kwestia jego trudnego szkockiego, co raczej dwóch trunków, które miesza – piwa i whisky. Duży błąd. Staram się go zrozumieć, naprawdę się staram. Mówi o koniach, które ma na ranczo po drodze do Inverness. O kobietach przyjaciółkach, nie kobietach kobietach. Jest smutny, rozczarowany, ale taki nudny, że aż żal mi go. Ma na imię Ian, jak przewodnik wycieczki nad Loch Ness. Zaczepia też Brazylijkę - Rovannę, bardzo sympatyczną i rozmowną jak on. Tyle, że trzeźwą i zrozumiałą.

Gdy zostawiam ich na chwilę, by zamówić kolejne piwo, zagaduje mnie młody facet przy barze. Tak zwyczajnie, po prostu. Zabawna sytuacja. Później stoimy i gadamy, na luzie, bez zobowiązań. Piję whisky, *Balvenie*, pierwsze tutaj w Szkocji. Jest słodkie, smaczne. Facet ma na imię Gordon, z pochodzenia jest Irlandczykiem. Rozmawiamy o językach, podróżach, ludziach, sporcie, naszych partnerach. Jego żona, co zdradza mi w tajemnicy z dumą i lękiem w oczach, jest w szóstym tygodniu ciąży. Rozumiem jego lęk. Wiem, że do spokojnego czasu mają jeszcze dwa miesiące. Dowiaduję się też, że jej matka urodziła martwe dziecko, które miało na imię Daniel. On nie chce takiego imienia dać dziecku, żona chce ze względu na matkę. Jest problem. Z uśmiechem poddaję mu pomysł mojego imienia dla dziewczynki lub imienia męskiego (Artur) dla chłopca – to piękne imiona. Kolejny szot whisky. Smakuje wybornie. Pijemy za zdrowie, wiemy jakie i kogo, każdy swego… Wiele toastów. Gordon ma dobrą brytyjską wymowę, choć jego ojciec, który urodził się na Jamajce mówi tym językiem beznadziejnie. „*Kali jeść, Kali spać*".

Dochodzi północ. To był niezapomniany wieczór. Ile znajomości dziś zawarłam. Ile wrażeń pozostanie na zawsze w moim sercu. Czas wracać na kwaterę. Dostałam właśnie informację od Irene, gospodyni wynajmującej mi pokój, że jutro mogę spokojnie zostać do drugiej po południu. Super! Z chęcią skorzystam z takiej możliwości. Czasem Bóg wysłuchuje naszych próśb, nawet tych niewypowiedzianych na głos;)

Wracam późno, a dużo później idę spać. Pakowanie dobytku zostawiam na rano. Na dziś, za kilka godzin…

PS. Kurtka zdała egzamin. Spokojnie mogę polecić tę markę na iście brytyjską pogodę. Nie jest tania, ale sprawdza się w każdych warunkach, a to najważniejsze.

Sobota, 19 sierpnia 2017

Późna pobudka, bez budzika. Cudownie się śpi w Aberdeen… Jest tak cicho i spokojnie. Słychać tylko odległe pokrzykiwania morskich ptaków. Wypijam w łóżku dwie kawy z mlekiem migdałowym. Czas płynie niespiesznie, a ja korzystam z WiFi. Gospodarze są przemili, uroczy w swojej staroświeckości. Mam tu wszystko czego potrzebuję. Czyżby czytali mi w myślach?

Piszę list dziękczynny do gospodarzy – Irene i Toma, a potem będę się pakować. Dziś niestety opuszczam Aberdeen, mój mały pokoik tutaj i wracam do Edynburga. Powoli kończą się moje wspaniałe wakacje, ale…nie ma co się roztkliwiać. Trzeba korzystać do ostatka, jak napisał mi przyjaciel.

Wychodzę. Do Muzeum Morskiego dziś jest wstęp gratis, mam szczęście. Przedtem zostawiam duży plecak w przechowalni na stacji kolejowej (2 funty za cały dzień). Pan robi kontrolę, czy nie mam broni, noża lub materiałów wybuchowych. Zabezpieczenia przed panoszącym się terroryzmem? Muzeum jest ciekawe, eksponaty rozlokowane na kilku piętrach. Zwiedzanie zajmuje mi ponad półtorej godziny.

Gdy opuszczam muzeum pada deszcz, a nawet leje, tutaj w Szkocji nie ma prawie dnia bez opadów. Idę na obiad do pubu dominikańskiego, tego samego co dzień wcześniej. Rozsmakowałam się w haggisie pod ziemniaczano-serową pierzynką wraz z warzywami i sosem whisky. Po to głównie tu jestem. Zamawiam też piwo, inne za każdym razem. Teraz to *Raven* (kruk) z Orkadów. Lokal wygląda zupełnie inaczej niż wczoraj. Jest zapełniony, trudno znaleźć wolne miejsce przy stoliku, wiadomo sobota. Dosiadam się do dwóch starszych pań kulturalnie obalających butelkę czerwonego wina. Do niczego, bez jedzenia. Jedna ma rumieńce na policzkach, druga jest blada. Obie są życzliwe, uśmiechnięte. Czy tak starsze panie spędzają wczesne popołudnia w Szkocji? Raj, po prostu raj dla emeryta.

Czekając na posiłek rozglądam się po sali. Kelnerzy uwijają się jak w ukropie. Jeden z nich ma niedorozwiniętą lewą rękę. Dłoń jest drobna, wiotka, zwisa bezwładnie i ma tylko trzy palce (kciuk i dwa inne). Umiejętnie radzi sobie z własną ułomnością. Kładzie talerze na chorej ręce, mocno przyciśniętej do ciała lub przyciska nią szklanki. Drugą ma sprawną, na szczęście. Daje sobie radę. Współczuję mu, choć tego nie okazuję, staram się obserwować dyskretnie.

Przy stoliku obok siedzi para, jak się okazuje Polka i Szkot. Ona mu się podoba, chce ją lepiej poznać, zadaje jej masę pytań. Ona nie jest nim zainteresowana, zdawkowo choć grzecznie odpowiada na zadawane pytania. To widać, słychać i czuć. Czasem tak niewiele potrzeba, aby odgadnąć czyjeś uczucia. Najlepiej robi się to z boku, nie angażując w relację.

Delektuję się jedzeniem, powoli sączę piwo z Orkadów tak mi bliskich i obserwuję ludzi. To fascynujące zajęcie. Zauważyłam wiszący u sufitu napis, zabawne motto życiowe idealnie pasujące do tego miejsca. To: „*The mouth of a perfectly happy man is filled with beer*" (Usta doskonale szczęśliwego mężczyzny są wypełnione piwem). Haha! Co racja, to racja. Nie tylko tutaj w Szkocji.

Deszcz przestał padać. Robię zakupy na wyprzedaży, a potem ruszam na dworzec kolejowy. Odbieram bagaż. Pan z przechowalni, gruby przyjazny człowiek, opowiada z uśmiechem, jak wielu ludzi zapomina odebrać bagaż. I zostaje tam tygodniami, szczególnie w czasie świąt Bożego Narodzenia. Opłata za przechowanie kumuluje się za kolejne dni. Potem wracają i płacą krocie za odbiór zapomnianych skarbów.

Na dworcu czekam na pociąg do Edynburga, jak zwykle numer peronu pojawia się w ostatniej chwili. Nauczoną doświadczeniem, nie powinno mnie to już dziwić, a jednak nadal dziwi. Jestem najedzona i senna, chcę po prostu wsiąść i zasnąć… Wsiadam więc i zasypiam natychmiast. Plan co prawda był inny

– miałam pisać, siedząc przy stoliku i patrząc przez okno. Specjalnie po to wykupiłam taką miejscówkę. Nic to. Z sennością nie można wygrać.

Budzi mnie facet w Dundee, kłócąc się, że zajęłam jego miejsce. Patrzę na jego bilet, ma to samo miejsce, ale oczywiście w innym wagonie. Sen już odegnany i nie wróci jak spragniony kochanek lub syn marnotrawny. Pojawia się też nagła, przerażająca myśl, że muszę zmienić pociąg. Na szczęście nic z tych rzeczy. Uspokaja mnie siedząca obok staruszka. Zaczynamy rozmawiać. Jest spokojna i przemiła. Ma na imię Margaret. Wraca od syna z okolic powyżej Cruden Bay. Mieszka sama między Glasgow, a Edynburgiem. Ma dwóch synów, wspomnianego już Colina (jak znany aktor Colin Firth, którego okazuje się, że obie lubimy) i Gordona. Słychać w jej głosie dumę, gdy mówi o tym drugim. Jest wykładowcą w Business College niedaleko Edynburga. Opowiada mi ciekawą historię wyboru jego drogi zawodowej, która zaczęła się od matematyki, przez geografię, aż po wspieranie uczniów, dla których angielski nie jest rodowitym językiem. Margaret mówi o nim z radością, jest twarz promienieje, młodnieje w oczach. Opowiadam jej o swojej podróży przez Szkocję, o wyprawie na wyspy Orkady. Pokazuję zdjęcia. Ona marzy o Orkadach. Od lat. Tylko nigdy nie miała okazji spełnić swego marzenia. Mam nadzieję, że po mojej opowieści w końcu je zrealizuje. Nie jest już młoda. Trzeba kuć żelazo póki gorące. Zadzierzgnęła się miedzy nami nić empatii. Rozmawiamy o językach, o British English i American English. O Szkocji, pięknej, dzikiej i zielonej. O owcach i klifach. O ludziach. Żegna mnie przytuleniem i pocałunkiem. Margaret. Dziękujemy sobie za wzajemnie spędzony czas.

Cieszę się, że podróżuję sama. Jestem bardziej otwarta na poznawanie nowych ludzi i wrażenia. Mam czas dla siebie i na własne przemyślenia.

Znów Edynburg. Jak szybko minął ten tydzień? Dopiero przecież stąd wyjeżdżałam… Czemu tutaj jest tak zimno? Tak wietrznie. Czyżby wszystkie wiatry sprzysięgły się przeciw mnie? W centrum handlowych na dworcu kupuję brakujące prezenty i idę zameldować się w hostelu na Queen Street. Pokój pozostawia wiele do życzenia, to prymitywna sypialnia bez wygód. Aberdeen mnie rozpieścił. Zostawiam ciężki plecak i wkrótce wyruszam na miasto, przypomnieć sobie znajome puby i ścieżki, którymi wędrowałam w czerwcu. Spaceruję Royal Mail, główną ulicą starego Edynburga. Mijam okolice byłego hostelu, sklep z kaszmirowymi szalikami Balmoral. W końcu wypijam na stojąco najlepsze piwo w mieście – to *Hollyrood*. Pyszne, jasne ale. W sobotni wieczór wszystkie puby pękają w szwach, niestety można tylko stać przy barze. Moim ostatnim piwem jest znany już *Tennent's*. Siedzę sobie, piszę i sączę. Jest późno, a o czwartej z minutami trzeba wstać. Niewiele snu mi zostało, a „do domu" daleko.

Niedziela, 20 sierpnia 2017

Noc jest krótka, straszna i prawie bezsenna. Wracam po 'T' piwie i chcę położyć się spać. Dochodzi północ. Kobieta w pokoju czyta sobie w najlepsze, przy pełnym jaskrawym oświetleniu jarzeniówkami, zdziwiona wielce, że proszę ją o zgaszenie kilku świateł o północy. Łóżko buja i czuję się jak na statku, nie mogę zasnąć, mam zawroty głowy. W budynku obok trwa głośna dyskoteka, co nie ułatwia

sprawy. Później, około drugiej wracają Włosi i robią raban… Gdy wreszcie zapada upragniona cisza i ciemność, jest już za późno żeby porządnie zasnąć, choćby na trochę.

4:10 pobudka. Zwlekam się z łóżka i jak jakaś ciecz, maź z kreskówek dla dzieci, spływam bezgłośnie na ziemię. Niebawem wychodzę z hostelu w nowym Edynburgu. Zaczynam dzień, niektórzy dopiero kończą swój imprezowy wieczór. Dla młodych gorączka sobotniej nocy nadal trwa. Widzę stada młodych ladacznic włóczących się po zaśmieconych ulicach. One same wyglądają jak walające się śmiecie. Posuwa je porywisty wicher. Ubrane są wyzywająco, wulgarnie, niektóre jakby samym strojem zapraszały płeć męską: „weź mnie, tu i teraz, weź mnie…". Dziewczyny niosą buty w dłoniach. Idą boso, widocznie stopy mają zmęczone długim staniem przy barze na wysokich szpilkach lub koturnach.

Jest zimno. Ja mam na sobie kurtkę, one sukienki na ramiączka i krótkie mini. Gołe brzuchy, ramiona i nogi wystawiają na podmuchy wiatru. Młodość, czy głupota? Zero rozsądku. Chłopcy. Jakoś mniej ich słychać, mniej widać. Są normalnie ubrani. Spokojniejsi. Nie podoba mi się obraz nowego Edynburga nad ranem jaki przyjdzie mi zapamiętać. Brud, śmieci, wulgarne dziewczyny i pustka, wszędobylska pustka dobrego smaku, stylu i kultury. Stary Edynburg był inny i taki pozostanie. Nie ma tam dyskotek, nocnych klubów, nie ma miejsca dla rozpasanej młodzieży i młodych ludzi.

Tuż przed piątą siedzę już w autobusie jadącym na lotnisko. Drzemię. Na lotnisku masakra! Dziki tłum pasażerów. Nie działa automatyczna odprawa bagażu, wszystko trzeba robić ręcznie. Personel lotniskowy uwija się jak w ukropie. W końcu udaje mi się pozbyć dużego plecaka, jeszcze tylko przejście przez kontrolę celną i jestem wolna. Szukam jednej rzeczy, gdy nieoczekiwanie spotyka mnie coś miłego. Pani w sklepie wolnocłowym, przy kosmetykach mówi, że mam śliczny naszyjnik. Robi mi się bardzo miło i ciepło pod serduchem, w tak posępny dzień. Tak mały gest, a jakże cieszy. Czasem tak niewiele potrzeba, aby świat znowu nasycił się kolorami… Czyjś uśmiech, miłe słowa, uprzejmy gest i już lepiej. I słońce roztacza gorące promienie wokół serca.

Zamawiam kawę i kanapkę (na drogę) w Cafe Nero, czuję się już jedną nogą w Polsce. Tam, to moja ulubiona kawiarnia, zwana dawniej Green Coffee. Siedzę i piję. Internet oczywiście nie działa, nie mogę złapać WiFi, jak w wielu miejscach w Edynburgu. Cóż, mówi się trudno. Wszystkiego dowiem się w Polsce.

Nie wiedzieć czemu samolot ma półgodzinne opóźnienie. Nic to. Nie spieszno mi do kraju, do posępnych ludzi, do smutku i wiecznych utyskiwań na wszystko i wszystkich wokół.

*****

To były naprawdę wspaniałe, udane, pełne wrażeń i pięknych miejsc wakacje. Warto było tu być, choćby tylko przez tydzień. Niewykluczone, że to nie ostatnia moja wyprawa do Szkocji. Pomysłów mam całą masę, wymarzonych miejsc do ujrzenia również. Zobaczymy… Chcieć to móc, a marzenia są po to, żeby je realizować.

Żyje się tylko raz!:)

Highlands, Szkocja, sierpień 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Rozpowszechnianie i kopiowanie bez zgody autorki, zabronione.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Niczyja, dodano 05.09.2017 09:55

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.